Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 18 Lipca 1897.

Przed 400 laty.

Przed pięciu laty obchodziła Europa czterechsetną rocznicę odkrycia Ameryki i rozbrzmiewało głośno w prasie wszystkich narodów imię Kolumba, który wyruszył w bezmiar nieznany, by odkryć nową drogę do Indyj i po wielu udręczeniach ułożył się do snu wiecznego, nie zdając sobie dokładnie sprawy z ogromu swego odkrycia, nie pojmując należycie, że zdobył nieznane światy dla cywilizacyi.

Jubileuszowym bohaterem dziś jest inny podróżnik XV stulecia, który w tym samym co Kolumb zamiarze wyruszył w świat szeroki i odkrył to, czego jego rywal wielki szukał naprożno — odkrył nową drogę do Indyj. W tym miesiącu właśnie mija czterysta lat od chwili, w której Vasco de Gama z czterema okrętami wypłynął na pełne morze. Data wyjazdu słynnego podróżnika była przedmiotem sporów naukowych — najprawdopodobniejszym jednak i przez prasę europejską uznanym wydaje się dzień 9 lipca 1497 r. jako termin rozpoczęcia słynnej wyprawy żeglarskiej.

Pod koniec XV stulecia ogarnął południowe kraje Europy szał odkrywania nowych lądów geograficznych. Dalej i dalej w nieznane strony, na nieznane morza, które fantazya majtków ubierała w tysiące widm fantastycznych. Cząstką to wonczas nie opowiadano sobie o tej tajemniczej przestrzeni morskiej, która zdaleka uśmiechała się jak Sfinks i kusiła dusze ludzkie, skłonne do szukania przygód romantycznych. Przecież dogmatem dla żeglarzy była wówczas legenda, że około przylądka Bajador rozwiera się paszcza piekielna i pożwala zbadać podążającym.

Jak wielu innych tak i Vasco de Gama czuł pociąg nieprzeparty zbadania światów nieznanych, zatopionych w mglach baśni ludowych. Ale bez pomocy możnych mecenasów wyprawy takiej przedsięwziąć nie zdołał. Zebrać okręty, zgromadzić kilkuset ludzi gotowych śmierć ponieść w głębinach tajemniczych — tego zadania podjąć się nie mógł bez pomocy wielkich potentatów. Zwrócił się tedy do księcia Henryka portugalskiego, znanego w historyi pod nazwiskiem Henryka-żeglarza i tu uzyskał niezbędne poparcie.

Do opisania Vasco de Gamy zgłaszał się także już poprzednio Kolumb, ale odkrywca Ameryki nie wzbudził zaufania w księciu Henryku, który dostarczył mu wprawdzie środków do badań astronomicznych i studyów kartograficznych, lecz plan szukania nowej drogi do Indyj odrzucił. Szczęśliwszym był Vasco de Gama. Książę dostarczył mu czterech okrętów, dostarczył 160 majtków i zaopatrzywszy załogę obficie w broń i żywność, wysłał gromadę śmiałków zuchwałych na wyprawę awanturniczą.

Oprócz załogi znajdowało się na jednym z okrętów dwóch zbrodniarzy w łańcuchach. W krytycznych chwilach, w najniebezpieczniejszych momentach wyprawy oni to mieli pierwsi głowę nadstawiać. Jeżeli wrócą szczęśliwie, będą wolni. To im przyobiecano, lecz historya milczy o dalszych losach majtków-kryminalistów.

Po osiemnastotygodniowej podróży opłynął Vasco de Gama szczęśliwie Przylądek Dobrej Nadziei i zwrócił się na północ, straciwszy poprzednio wskutek pożaru okręt z prowiantami. W marcu 1498 roku dotarł do Mozambiku, gdzie doznał ze strony wicekróla pozornie gościnnego przyjęcia, w rzeczy samej jednak zaledwie tylko uszedł pułapce morderczej, którą zbrodnicze zastawiły ręce. Odtąd cała podróż była bezustanną walką z zasadzkami i podstępami krajowców i podejrzliwych królików afrykańskich.

Po wielu udręczeniach, straciwszy połowę załogi, udało się wreszcie Vasco de Gamie wylądować w Kalikucie, w położonym na wybrzeżu malabarskiem punkcie centralnym wschodnio-afrykańskiego, arabskiego, perskiego i indyjskiego handlu. Tu książę krajowy Zamorin zrazu przychylnie witał portugalskich gości, lecz wkrótce, ulegając podszeptom doradzców dworskich, kazał Vasco de Gamę przyaresztować i zamierzał nawet spalić okręty przybyszów. Tylko niezwykła przytomność umysłu i żelazna energia ocaliła słynnego podróżnika od śmierci. Uzyskawszy wolność, rozwinął natychmiast żagle i poddawszy na Maledywach gruntownej reparacyi okręty nadpsute, okrążył po raz drugi Przylądek Dobrej Nadziei i 14. września 1499 r. powrócił do Lizbony.

Witanego entuzyastycznie przez lud portugalski podróżnika obdarzył król Emanuel tytułem szlacheckim i mianował go admirałem Indyi. Tryumfy jednak skończyły się prędko.

I Vasco de Gamie nie oszczędzono losu Kolumba. Po wielkich owacyach rozpoczęły się intrygi dworskie i wkrótce w cień zepchnęła bohatera chwili kamaryla dworska. Vasco de Gama zasiadł rolę, bo przez 20 lat pozostawał w ukryciu, i dopiero gdy kolonizacya Indyi napotkała na nieprzezwyciężone przeszkody, gdy nowomianowani wicekrólowie rady sobie dać nie umieli z opornymi kacykami, przypomniano sobie nazwisko Vasco de Gamy. Posłuszny wezwaniu, stłumiwszy żal słuszny do ojczyzny niewdzięcznej, udał się słynny podróżnik powtórnie do Indyj i energią swoją i męstwem ocalił sytuacyę straconą.

Wtedy powtórzyły się znowu pierwsze tryumfy. Do tytułu szlachcica przyłączono mu tytuł hrabiego, a w roku 1524 mianował go Jan III. wicekrólem Indyi. Godność tę jednak nie długo piastował Vasco de Gama. Wiekiem pochylony, udał się w roku 1524 w towarzystwie 14 okrętów po raz ostatni do Indyi i podniósłszy kilku zwycięstwami podupadłą powagę Portugalii, dokonał żywota w Cochinie, skąd zwłoki jego w r. 1538 przewieziono do ziemi ojczystej.

Pierwszą wyprawę Vasco de Gamy unieśmiertelnił w literaturze Camoens, zaczerpnąwszy z niej treść do Luizjady swojej. Później nieraz jeszcze dzieje bohatera portugalskiego stanowiły przedmiot powieści, dramatów, a nawet oper. Wielki to był charakter, nieustraszony żołnierz i dyplomata zręczny. To, co inni psuli, on zawsze naprawiał. Tam gdzie inni opuszczali ręce w zniechęceniu, on sztandar podnosił i zwyciężał.

Pamiątki Mickiewiczowskie.

Rzym d. 12 lipca.

Skorzystałem z jednego z chłodniejszych poranków lipcowych, aby zwiedzić dawną willę księżnej Zeneidy Wołkońskiej, gdzie często przebywał Adam Mickiewicz. Zaciszna niegdyś willa, położona około Lateranu i kościoła św. Krzyża *in Gerusalemme*, straciła dzisiaj z dawnego charakteru. Miasto zabudowało się wokoło ogrodu, a widok z willi na Kampanię ku wzgórzom albańskim, na sine stoki gór, zepsuty został przez postawienie wielkich domów mieszkalnych za bramą lateranską.

Ubok uroczej, ale stosunkowo skromnej willi, w której bywał gościem Mickiewicz, stanął przed kilku laty piękny pałac, tradycyjne przybytki dla studyów Campanarich, bo willa ks. Wołkońskich, razem z wielkiemi posiadłościami w Rosyi, dostała się w drodze spadku jednej wnuczce księżnej Zeneidy Wołkońskiej, wydanej za markiza Campanari.

Wiele rzeczy jednak zostało w tym samym stanie, w jakim były w roku 1829, kiedy Adam Mickiewicz przybył po raz pierwszy do Rzymu i zabawił od listopada do maja 1830 r.

Przeszedłem przez pokoje, w których kiedyś księżna Zeneida, wielka przyjaciółka wieszcza, przyjmowała go, szukałem pamiątek po nim, ale oprócz wielkiego zeszytu, oprawionego w czerwoną skórę, a zawierającego tłumaczenie „Konrada Wallenroda" prozą, po francusku, przez Karolinę Jenisch, ofiarowanego ks. Wołkońskiej, nic nie znalazłem.

Główną ozdobą willi stanowi wodociąg starożytny, którego łuki kolosalne obrosłe bluszczem, biegną przez ogród, jako nieme i walące się świadki dawnej wielkości Rzymu. Z niektórych punktów parku roztacza się śliczny widok na Kampanię.

Przed kilkunastu laty znaleziono tutaj starożytne Columbarium, którego też część została odkopana. W jednej z bocznych alei księżna Zeneida, która była podobno sentymentalną, ustawiła pod cyprysami cały szereg słupów i tablic, uwieczniających pamięć swoich dobrych znajomych, przyjaciół i przyjaciółek. Pomiędzy nimi nie ma jednak Mickiewicza.

Jak wiadomo Adam Mickiewicz wrócił do Rzymu dopiero w roku 1848 i mieszkał wtedy na via del Pozzetto nr. 114, gdzie też wmurowana jest tablica marmurowa. W roku 1829 i 1830 mieszkał, jak wiemy ze wspomnień Antoniego Odyńca, na Via del Orso.

Roman Postępski, malarz znał Adama Mickiewicza, kiedy był w Rzymie w roku 1848 i wymalował jego portret dla Aleksandra hr. Branickiego. Z tego portretu zdjęty został staloryt przez A. Schiassego. Znany rzeźbiarz, Wiktor Brodzki, ofiarował do sali senatorskiej na Kapitolu wyborne popiersie marmurowe Adama Mickiewicza. Prócz tego Brodzki zrobił kilka popiersi wieszcza, z tych jedno bronzowe niewielkich rozmiarów, któreby się nadawało do rozpowszechnienia. Cezary Correnti posiadał marmurowy medalion Mickiewicza, roboty Wiktora Brodzkiego.

Mamy więc Jana Sobieskiego na obrazie Jana Matejki w Watykanie, Adama Mickiewicza na Kapitolu i Mikołaja Kopernika, to jest jego muzeum, w kolegium rzymskiem.

A. D.

Szkoła angielska.

W chwili, kiedy jubileusz królowej dał Anglikom okazyę do zamanifestowania w sposób o ile wspaniały, o tyle też krzykliwy, swych sentymentów lojalizmu monarchicznego, nie bez interesu będzie prawdopodobnie zaznajomić się z procedurą pedagogiczną, która tworzy charakter angielski, zadziwiający swym zbiorem najsprzeczniejszych przymiotów. Co przedewszystkiem w organizacyi szkolnictwa angielskiego zadziwia nas, przyzwyczajonych widzieć państwo i rząd wyłącznie w sprawie rozporządzania nauczaniem, to to, że w Anglii zakłady oświaty drugiego stopnia są wyłącznie zakładane i utrzymywane przez osoby prywatne, już to przez uniwersytety, już to przez grupy akcyonaryuszy, już to przez duchowieństwo lub sekty polityczne. Panuje więc w nauczaniu swoboda absolutna i konkurencya kolosalna, uprawiana przez różnorodne zakłady. Jedni, zapaleni partyzanci tradycyi, protegują bez znacznej zmiany stary klasyczny sposób nauczania. Drudzy, więcej czuli na obecne wymagania, dają przewagę realiom i językom nowożytnym. Te dwa rodzaje oświaty drugorzędnej prowadzą za sobą zupełnie odrębny sposób życia. W innych krajach państwo utrzymuje szkoły, dające wychowanie klasyczne i nowożytne, że tak powiemy, pod jednym dachem, pod jedną i tą samą administracyą, a czasami pod kierunkiem tychże samych profesorów. Szkoły drugorzędne w Anglii mają zresztą też podwójną administracyę, stworzoną raz przez kolegium lub radę profesorów, oraz przez tak zwanych „fidei-komisarzy", ludzi światowych, po największej części obcych wychowaniu i studyom, a przeważnie obarczonych tylko częścią administracyjną i materyalną szkolnictwa. Szkoły drugorzędne prawie zawsze grupują się wokół gmachu głównego. Są tam biblioteki, muzea, tereny przeznaczone do gier i małe domki, zamieszkałe przez profesorów, w których wychowańcy są umieszczani w charakterze pensyonarzy. Młodzi Anglicy w rzeczywistości nie znają rozkoszy internatów. Żyją oni w domu nauczyciela lub opiekuna, który jest jednocześnie dyrektorem i nadzorcą ich studyów, jedzą u jego stołu z jego żoną, matką, dziećmi i otrzymują w ten sposób wychowanie domowe. Dziecko poza godzinami klasowemi i poza chwilami przeznaczonemi na spożycie strawy, po zamknięciu szkoły, jest panem swego czasu i dysponuje czasem do woli bez kontroli.

Zauważyć należy, iż wychowańcy zachowują wspomnienia najlepsze z chwil pobytu w swem kolegium, któremu potem okazują wdzięczność przez legaty, ofiary, fundowanie stypendyów i td. Przyznać trzeba zresztą, że ta swoboda i ta niezależność prawie nieograniczona, są przyczyną pewnego poniżenia poziomu studyów Lecz Anglicy twierdzą, że dziecko winno posiąść przed wszelką inną nauką, umiejętność korzystania ze swobody i że szkoła winna być w rzeczywistości uporządkowaniem życia i wdrożeniem do odpowiedzialności, jakie ono pociąga za sobą.

Nie mogę jednakże pochwalić bez pewnej rezerwy tej części edukacyi, która jest poświęconą rozwinięciu fizycznemu osobnika. Bardzo ładnie, że opinia publiczna przywiązuje odznaczeniom zwycięzców, w walkach atletycznych wielkie uznanie. Nie mogę jednakże się wstrzymać od wypowiedzenia paru słów prawdy, że ten hołd składany sile fizycznej, wpływa ujemnie na charakter Anglików, którzy władają dość bezwzględnie swą pięścią.

Wreszcie ciemną stroną medalu jest w Anglii to, że wychowanie i pouczanie drugorzędne jest dostępnem tylko bogatemu mieszczaństwu. Trzeba liczyć w rzeczywistości co najmniej 5000 franków rocznie na ucznia, wychowanego w wielkich kolegiach w Eton, Harrow i t. d., gdzie co prawda profesorzy zarabiają do 45,000 fr., a dyrektorzy od 100 do 120.000. Nasi nauczyciele zadawalają się sumami mniejszemi. Pierwszorzędne kolegia angielskie mają władzę bardzo nieograniczoną. Bo tylko im samym przysługuje prawo zastosowywania dla winowajców kary rózgi. Jest ona w poszanowaniu tam, a nawet dość ceniona przez uczniów, gdyż kilka lat temu całe pewne kolegium zbuntowało się przeciw swemu dyrektorowi, pragnącemu znieść kary cielesne. Cudowna i iście typowa manifestacya sprytu praktycznego Anglo-Saksonów, którzy przenoszą być bitymi wszędzie indziej, aby nie w kieszeń i woreczek pieniężny!

J C.

Ankieta w kwestyi feminizmu.

Jedno z młodych czasopism francuskich, poświęcone sztuce i literaturze, mianowicie *Revue naturiste*, ogłosiło ankietę w kwestyi feminizmu. Redakcya postawiła trzy następujące pytania:

I. Czy nie jest prawdą, iż kobieta przyszłości, taka, o jakiej marzą feminiści, stałaby się jednem z poważniejszych niebezpieczeństw, zagrażających ludzkości i sprowadziła głębokie przesilenie w porządku zarówno moralnym, jak i duchowym i społecznym?

II. W tem oświetleniu określić rozmaite rodzaje niebezpieczeństwa, grożącego ze strony feministów.

III. Czy zachodzi konieczność zwalczania tego ruchu?

W liczbie pisarzy, którzy nadesłali odpowiedzi, znajdujemy zaledwie dwóch czy trzech bezwarunkowych stronników feminizmu. Henryk Bauer pisze: „Żyjąc pomiędzy mężczyznami, poznałem ich egoizm, podłość, nadużywanie siły i stałem się feministą. Każde stworzenie ludzkie, czy jest mężczyzną, czy kobietą, ma prawo żądać pełni swobody w zakresie praw i instytucyi społecznych."

P. Armand Silvestre jest tego samego zdania. „Czekam z moim pierwszym procesem, by mogła go przegrać nadobna adwokatka przed elegancką sędziową w sali pachnącej liliami, by na posiedzenie wprowadziły mnie dwie rosłe żandarmowe i strzegły na ławie oskarżonych. Doktorzy niech utracą nadzieję zatrucia mych ostatnich chwil swemi preparatami. Chcę umrzeć z przepisu doktorki, uśmiechającej się do mnie mile. Jeżeli mam być szczerym, rzeczpospolitę kocham dla tego, iż wystawiam ją sobie pod postacią kobiety. Ten Ludwik XVIII i Napoleon III wydają mi się tacy brzydcy!

Dalej dodaje już w tonie poważnym:

Mogą jej strzedz lub nie, dość, że kobieta wtargnęła w dziedzinę literatury i sztuki, pomiędzy horyzonty oddawna przed nią ukrywane. Czy mamy prawo spuszczać przed nią zasłonę, która się uchyliła i rzucać kamienie na jej drogę, wiodąca do światła".

Na przeciwnym krańcu staje Rodenbach. Ten kwestyi feminizmu nie dopuszcza nawet do dyskusyi. „Nie wierzę w niebezpieczeństwo — pisze — ani w spełnienie marzeń i programu feministów. Rozprawiano o tem już za Arystofanesa. Do czegożby przydały się rządy kobiet takie jak w „Lizystracie?" A zresztą czyż kobiety same życzą sobie tego? Dziś kobiety wychodzą lepiej, gdyż zamiast rządzić — panują. Kryje się w tem symbol, który powinien strzedz kobiety przed równouprawnieniem płci, to bowiem zniszczyłoby ich urok".

Większość zawezwanych do ankiety okazuje się mniej sceptyczną. Przyznaje, iż feminizm jest kwestyą bardzo żywotną, bardzo groźną i ubolewa nad tem. Tacy jak Gabryel Scailles, Maurycy Le Blond, Ledrain, a nawet Catulle Mendes, zdradzają obawy przed urządzeniami feministycznemi. Kobieta, ich zdaniem, stworzoną jest tylko do miłości.

„Chore w społeczeństwie kobiecem są te, które produkują zamiast karmić, mówią zamiast słuchać, rozumują zamiast wierzyć; choremi są kelnerki, kasyerki, buchalterki, które, gotując zupę lub wtedy kiedy powinny ją gotować, nie poprzestają na sławie swych żołnierzy i swych poetów, lecz chciałyby robić wszystko same".

Tegoż zdania jest Emil Zola, który w feminizmie dostrzega uchybienie przeciwko naturze. „Kobieta, podobnie jak mężczyżna, będzie zawsze tylko tem, czem natura chce, by była. Wszystko po za tem może być tylko anormalnem, niebezpiecznem, lecz na szczęście bardzo błahem. Gdy chodzi o sprawiedliwość lub szczęście, nie ulega wątpliwości, iż kobieta powinna być równą mężczyźnie. Ale fizyologicznie jest ona inną, jej funkcye są inne i jeżeli tego nie zrozumie, ginąć musi".

Dalej mamy uczestników ankiety zrezygnowanych. Są oni dwojakiego rodzaju: smutni i weseli. Pierwsi myślą: wszystko to jest dosyć śmieszne, ale cóż my na to poradzimy; drudzy: „niech się dzieje co chce, być może, iż wynikną z tego zabawne niespodzianki". Na stanowisku tych pokrewnych opinii spotykamy: Maksa Nordaua, Pawła Aleksis, Fernanda Vanderema i innych. Na ich stronę skłania się Maurycy Berres, który pisze: Zdaje wam się, iż te uczone damy nie będą piękne ani ponętne. Każdy ma swój gust. Ale te nowe kobiety mogą się wydać ładnemi naszym wnukom. Przekonano się, iż młody człowiek, znalazłszy się na bezludnej wyspie z jedną kobietą, zakochuje się w ciągu dwóch tygodni, choćby ta kobieta była potwornie brzydką. Jeżeli jednak, jak przypuszczano, kobiety uczone będą wstrętne, stanie się nieszczęście tylko przemijające — umrą bezpotomnie, przepędziwszy życie w nieustannej trosce.

ROZMAITOSCI.

Zbytki miliarderów amerykańskich zajmą niewątpliwie miejsce należne w dziejach cywilizacyi ludzkiej. Już w r. 1859 w całym świecie wywołało zdumienie wesele dyamentowe na którem narzeczona, miss Frances Bartlett, wystąpiła osypana cała dyamentami, a narzeczony Esteban de Oviedo, ofiarował każdej z druchen wspaniałe tualety i bajeczne klejnoty. Na razie ludzie osłupieli z podziwu; później posypały się drwinki, omal że nie przyszło do procesu o dyffamacyę... Błyszczeli rozrzutnością Astorowie. Pani Willie K. Vanderbilt wydała w roku 1883 bal kostiumowy, który był nieledwie wypadkiem narodowym i dał początek mnóstwu skandalom w ciasnem kółku czterystu bogaczów amerykańskich. Pani Vanderbilt zdobyła na jakiś czas berło szyku. Zaćmili ją wszakże Bradley-Martinowie. Między innemi wydali oni w r. 1890 obiad-kotylion, który ich kosztował 500.000 franków. Ile warte były klejnoty zdobiące gospodarzy i trzystu zaproszonych gości z najbogatszych rodzin, pozostało nieobliczone; sprawozdawca nowojorskiego Heralda, zrobiwszy ścisłe poszukiwania, wykrył, że na piersiach jednego tylko z panów błyszczały kamienie wartości 375.000 fr. Żeby odjąć rzezimieszkom pokusę, dokoła pałacu trzymała wartę brygada policyi. Specyalne pociągi prywatne, od monarszych zbytkowniejsze, jachty spacerowe, łazienki przyozdobiane rzeźbami arcykosztownemi, mozajkami, dywanami — pochłaniają miliony. Są też ludzie, którzy erze miliarderów dziś już piszą złowróżbne „mane-tekel-fares. Czasy robienia fortun tak kolosalnych w prędkim przeciągu czasu mijają według nich a dotychczasowe majątki topnieją szybko przez zbytki i w drodze działów.

Testament morfinisty. Trybunał cywilny w Beauvais rozstrzygał w tych dniach ciekawe z punktu prawnego pytanie: czy testament morfinisty jest dokumentem prawomocnym? W Beauvais znaleziono zwłoki znanego adwokata paryskiego i poety Edwarda Dubas. Przy zwłokach leżała strzykawka do morfiny. Jak objaśnia sam zmarły w testamencie, od dłuższego już czasu oddawał się namiętnie morfinomanii i w końcu, przez zastrzyknięcie niezwykle wielkiej dawki morfiny odebrał sobie życie. Na krótko przed zgonem Dubas odziedziczył spadek wynoszący 600.000 franków i generalną spadkobierczynią tego majątku mianował w testamencie swą kochankę. W obec tego rodzina zmarłego wystąpiła do sądu o zwalenie testamentu, dowodząc, że morfinomania odbierała możność prawomocnego sporządzenia takiego aktu jak testament. Sąd żądaniu temu odmówił, wychodząc z zasady, że ponieważ morfinomania w prawie karnem nie znosi odpowiedzialności za czyn przestępny, nie może przeto również w sprawach cywilnych być powodem zniesienia prawomocności aktów.

Trzęsienie ziemi w Kalkucie Jeden z naocznych świadków tej wielkiej katastrofy, która dotknęła stolicę angielskiego cesarstwa angielskiego cesarstwa Indyjskiego, nadesłał następujący opis tego przebiegu: Była godzina piąta po południu i właśnie zamierzałem wyjść z biura do domu na obiad. Koledzy moi już przedtem opuścili biuro. Wtem rozlega się huk podobny do grzmotu, okna i drzwi drżą jak w czasie silnej burzy, tynk i ornamenta lecą ze ścian i sufitów. Przez okno biura wydostaję się na dach sąsiedniego domu, by zobaczyć co się dzieje. Wszystko trzęsie się i chwieje jak okręt, a ja ledwie utrzymać się mogę na nogach. Potężny, masywny nasz dom kołyszy się falistym ruchem, ściany jego pękają. Patrząc nań, zadaję sobie mimowolne pytanie: w którą też stronę upadnie? Nakoniec wstrząśnienie ustają. Stoję na mojem miejscu nietknięty. Zdawało mi się, że trwa to Bóg wie jak długo, a tymczasem wszystko trwało tylko — trzy minuty! Po pewnym namyśle odważyłem się wyjść na schody i przez stosy gruzów, na ulicę. Przeszedłem się po kilku sąsiednich ulicach, na których roiło się od krajowców. Za pierwszem wstrząśnieniem bowiem wszyscy mieszkańcy wybiegli z domów, czego ja, nie mający pojęcia o trzęsieniu ziemi, nie uczyniłem, a przytem tak oszołomiony byłem tem groźnem zjawiskiem przyrody, że nie zdawałem sobie zupełnie sprawy z tego, co się wokoło mnie działo.

Ulice przedstawiały dziwny widok, gdyż dachówki, gzymsy, rynny, całe werendy strącone z domów pokrywały bruk zupełnie, przyczem szczęśliwym zbiegiem okoliczności, nikt śmierci, ani poważniejszych obrażeń nie poniósł. W pół godziny potem ja i moi koledzy wziąwszy na odwagę, weszliśmy do domu, w którym mieszkaliśmy. W mieszkaniach zastaliśmy ściany i sufity porysowane, na podłodze półmetrową warstwę gruzu, lecz ruchomości, dziwnym trafem, niezbyt uszkodzone. Natomiast dom wymaga kosztownej, gruntownej naprawy, obecnie bowiem nie jest mieszkalnym. Spadły w nocy deszcz dostawał się do wszystkich mieszkań.

Udałem się do przyjaciela, którego dom o pół godziny drogi oddalony od mego, wcale nie ucierpiał. Ruch falisty ziemi szedł w kierunku od wschodu na zachód, ze wzrastającą siłą tak, że się obawiano, iż całe miasto legnie w gruzach. Nie ma prawie ani jednego domu w milionowem tem mieście, któryby nie poniósł mniejszej lub większej szkody. Miasto wygląda tak, jakby przetrwało straszne bombardowanie. Bardzo wiele domów, grożących zawaleniem, trzeba będzie znieść zupełnie.

Trzęsienie ziemi w Ameryce środkowej. Z pism amerykańskich dochodzą nas bliższe szczegóły o zburzeniu meksykańskiego miasta Tehnantepec przez straszliwe trzęsienie ziemi, które nawiedziło Amerykę środkową. Tehnantepec leży w południowo-meksykańskim stanie Oaxara, na wązkim przesmyku Tehnantepec, który, mając zaledwie 28½ mili szerokości, oblany jest z Zachodu wodami zatoki tegoż nazwiska, ze wschodu — zatoki Campêche. Zwężeniu temu odpowiada i obniżenie ziemi na 1100 stóp, tworzące podział pomiędzy płaskowzgórzami Anahac a Guatemalą. Miasto samo leży o trzy mile od brzegu oceanu Spokojnego, 8000 mieszkańców, a portowe jego położenie oraz bliskość kolei współdziałały w ostatnich czasach szybkiemu jego rozwojowi. Naokół okolica urodzajna, choć górzysta, przerznięta z zachodu na wschód pasmem gór Madre del Sur z kilku wulkanami. W nocy d. 16 czerwca w całym Meksyku połndniowym, od portu Acapulco do Veracruz, dały się uczuć dwa silne wstrząśnienia ziemi. Wahania były poziome i pionowe naprzemian. połączone z łoskotem podziemnym, przypominającym oddalony głuchy huk gromu. Pierwsze wstrząśnienie trwało 35 sekund, poczem wkrótce nastąpiło drugie, 10-sekundowe. Najsilniejsza katastrofa nawiedziła Thenantepec. Ziemia trzęsła się bez przerwy przez kilka dni, miasto zburzone zostało do szczętu. Przerażona ludność uciekła i obozuje pod gołem niebem. Liczba ofiar dotychczas dokładnie niewiadoma. Jednocześnie i w Stanach Zjednoczonych, a mianowicie w Kalifornij, Kentucky i Wyomingu dał się uczuć wstrząśnienia, nie sprawiając jednak takiej katastrofy. Jako ślady naporu sił podziemnych pozostały tylko olbrzymie rozpadliny, niektóre długie na kilka kilometrów.

Jawność hipoteczną praktykowali Grecy w rozmiarach, które nam, dziś żyjącym, wydałyby się zapewne... żenującemi. Wiadomość o pożyczce, na dom zaciągniętej, ryto na kamieniu, we froncie domu, od ulicy; niekiedy służył do tegoż celu odłam skały, przed domem przypadkowo leżący, lub inny podobny materyał. W miarę spłaty zmieniano cyfrę długu: wyskrobywano dawną, ryto nową. Podobnym zmianom ulegały nazwiska wierzycieli, jeśli jeden wstępował w prawa drugiego. Napisy takie spotykać można w Attyce i w samych Atenach dotychczas... Dr. Eugeniusz Ziebarth z Getyngi studyował szczegółowo ten przedmiot i wyniki swoich badań ogłosił w ostatnim zeszycie protokołów berlińskiej Akademii umiejętności.

W Sparcie.

Kto chce sobie wytworzyć dokładne pojęcie o Grecyi, ten nie do Aten jechać powinien. Miejsce rodzinne Temistoklesa i Peryklesa jest miastem pięknem i nowem, które ma tę wadę, iż przypomina zanadto zimową stacyę klimatyczną, urządzoną dla eleganckiego towarzystwa. Pałace są w stylu włoskim, ulice szerokie i dość czyste, chociaż niedostatecznie skrapiane. — Wszyscy mieszkańcy miejscowi, bez różnicy klas i stanowisk, zajmują się polityką, a cudzoziemcom zdaje się, iż studyują archeologię. Nie ma w Europie miejsca przyjemniejszego dla ludzi mających upodobanie w zabytkach starożytnych i lubiących spędzać zimę pod południowem słońcem. Trzeba jednak przyznać, iż wszystkie pokusy, jakie mogą ofiarować Ateny, mają w sobie coś powierzchownego. Miasto, które według statystyki ogłoszonej przez p. Bikelasa w *Century Magazine*, liczyło za panowania tureckiego ośm tysięcy mieszkańców, a liczba ta spadła do dwóch tysięcy w przeddzień wojny o niepodległość, posiada, jak wykazał ostatni spis ludności, 130.000 mieszkańców, a wraz z ludnością Pireusu dochodzi do 180.000. Ten szybki wzrost nadał mu pozory banalności wielkich miast amerykańskich, improwizowanych z wielkim pośpiechem, według planów przyrządzonych niezmiernie systematycznie. Na stałym lądzie niewiele jest miast, ktoreby rosły tak szybko, jak Ateny, zwłaszcza w ciągu ostatnich lat trzydziestu. Opierając się na obliczeniach Xenofona, który liczbę rodzin podawał na 10.000 i na stosunku istniejącym ludzi wolnych do niewolników, dochodzimy do przekonania, że stolica Grecyi ma dziś niemal tyleż ludności, ile miała za najświetniejszych swoich czasów.

Sparta jest obecnie daleko więcej interesującą od swej dawnej rywalki, gdyż nie wzrastała z taką szybkością. Pozostała małem miastem i chociaż cyfra jej ludności nigdy nie była wysoką, nie ulega wątpliwości, iż posiada obecnie mniej obywateli, niż ich za czasów Leonidasa. Lecz chociaż niżsi liczebnie, Spartowie współcześnie budzą niekłamaną ciekawość, gdyż zachowali praktyczne zwyczaje swych przodków. I Sokrates wymawiał Lacedemończykom, iż uczą się pisać tylko po to, by prowadzić książki rachunkowe.

Niedawno pewien podróżnik amerykański nad brzegami Eurotasu zanotował następującą rozmowę. Dziadek zwrócił się do wnuka z zapytaniem: „Ile drahm wart jest napoleon?" Śmiałością odpowiedzi dziecię dowiodło, iż pochodzi od tego narodu Grecyi, który okazywał zawsze wielki wstręt do wydatków niepotrzebnych i znał najlepiej wartość pieniędzy. Podczas gdy Ateńczycy zapełniają muzea marmurami starożytnymi, Lacedemończycy wolą używać arcydzieł starożytnej rzeźby do ozdoby fasad swych domów.

Przedziwnej piękności płaskorzeźba, wyobrażająca bitwę amazonek, umieszczoną jest w Sparcie nad szyldem aptekarza, p. Kapsomanticos. Wybornie zakonserwowana głowa Gorgony służy za klamkę do drzwi w domu p. Diamantopulos. Zwyczaj ten zresztą nie ma nic szkodliwego w kraju, gdzie słońce i powietrze nietylko nie niszczy arcydzieł przeszłości, lecz konserwuje i upiększa.

Spartańczycy są dumni ze szczątków starożytnych posągów zeszłych z marmuru miejscowego, lecz mimo to mają upodobania współczesnych. Pewien potomek Agesilausa, który zrobił w Brooklynie majątek na handlu sztucznymi kwiatami, powróciwszy stęskniony za niebieskiem niebem Peloponezu, powziął myśl założenia nad brzegami Eurotasu magazynu konfekcyi. Przedsiębiorstwo to rozwijało się pomyślnie i Spartańczycy noszą dziś ubranie skrojone według ostatnich mód paryzkich i londyńskich. Można jednak mniemać, iż gdyby Leonidas ożył, przebaczyłby im, iż noszą odzież europejską, zamiast okryć zapożyczonych w wiekach średnich od plemion barbarzyńskich.

Młodzi Lacedemończycy, chociaż przyswoili sobie odzież z zachodu, pozostali wierni wspomnieniom starożytnej Grecyi. Współpracownik czasopisma amerykańskiego *Atlantic Monthly* który przez dwa miesiące zwiedzał Helladę i Peloponez, by studyować na miejscu zmiany przez czas narzucone, miał sposobność znaleźć się na wykładzie w szkole wyższej w Sparcie. Hellenista z zawodu, od lat wielu zajęty zaznajamianiem młodzieży amerykańskiej z pięknościami greckiej gramatyki, miał szczęście przyjrzeć się pracy swych kolegów w Lacedemonii.

„Zdawało mi się — pisze p. Grildeshere — iż znalazłem w sali w Gotyndze, gdzie byłem czterdzieści pięć lat temu. Pulpity i ławki były wierną reprodukcyą przyrządów szkolnych, używanych we wszystkich kolegiach niemieckich. Trzydziestu młodych chłopców, w wieku od lat trzynastu do siedmnastu, odpowiadali na zapytania profesora. Prawie wszyscy byli doskonałymi uczniami i nauczyciel nieustannie wyrażał im swoje zadowolenie słowami: *Poli kala*, co w greczyznie znaczy: bardzo dobrze. Byli to po większej części młodzi ludzie, barczyści, z twarzami opalonemi przez słońce. Możnaby mniemać, iż wszystkie te głowy, z włosami krótko obciętemi, wyszły z pod jednego stempla. Ich oczy błyszczały inteligencyą, ale w twarzy i postawie kryły się jakiś wyraz smutku, niezwykły u młodzieży w tym wieku.

Czy ci potomkowie starożytnych Greków mogli być zadowoleni ze swego losu? Zamiast zaprawiać się do walk i biegać nago w zawody, są skazani przez urządzenia przeznaczenia na studyowanie od rana do wieczora gramatyki greckiej, komplikowanej coraz to nowemi odkryciami komentatorów niemieckich. Doprawdy, ta zaborczość rasy niemieckiej wprost przestrasza.

Niemcy nie poprzestali na wyuczeniu Turków sztuki wojowania, którzy aż nadto dobrze skorzystali z ich lekcyi, lecz uczą także gramatyki greckiej uczniów szkół Sparty i Aten.

„Książki, z których ci młodzi ludzie muszą się uczyć swego ojczystego języka — pisze współpracownik *Atlantic Monthy* — nie mają dla nich ani odrobiny uroku narodowego. Są to gramatyki z doktrynami Kurtiusa i Meyera, słowem prace niemieckie przetłomaczone na ten język konwencyonalny, zwany nowogreckim."

„Należy tu przypomnieć, iż autor tych notatek jest profesorem języka greckiego w uniwersytecie amerykańskim, przeto jego sąd aczkolwiek surowy, nie może podlegać zarzutowi braku kompetencyi."

Gramatyka grecka jest nauką, robiąca nieustannie nowe postępy. Nie od rzeczy nadmienić, iż profesorowie Aten i Sparty śledzą z dnia na dzień odkryć, czynionych przez hellenistów niemieckich. Stara teorya o akcentach niedawno została znacznie zmodyfikowaną, o czem nikt nic nie wiedział nad brzegami Eurotasu.

Wybór autorów klasycznych, których tłómaczą i uczą się gorliwie w szkołach królestwa greckiego, godniejszym jest uwagi niż daremne wysiłki wtajemniczenia młodych Greków we wszystkie zawiłości aorystu. Plutarch i Ksenofon, do których uczeni profesorowie Oksfordu i Goettyngi żywią pogardę, jako zbyt łatwych do tłómaczenia, zajmują przeważne miejsce w edukacyi potomków bohaterów z pod Maratonu i Platei. Autor „Anabasis" uchodzi za wzorowego stylistę i za autora uprzywilejowanego, oraz twórcę języka, na którym mogą się wzorować uczeni, wierni kultowi Homera.

Jeżeli zadaniem Ksenofona jest nauczanie współczesnych Greków języka przodków, to Plutarch łączy ich z przeszłością. Autor „Apologii Sokratesa" jest dla współczesnych uczonych greckich jedynie profesorem stylu, a pisarz, który opowiedział żywoty wielkich ludzi i których nazwiska przez szereg wieków przechowały sławę narodu greckiego, został słusznie wybrany do kształcenia umysłów potomków Arystydesa i Peryklesa.

Raczej Temistokles niż Ulises jest w oczach młodych Greków prawdziwym bohaterem narodowym. Król Itaki jest rodzajem półboga mitologicznego, wsławionego w wojnie, która nie opiera się na dokumentach, podniecających patryotyzm współczesnych Greków; przeciwnie zwycięzca z pod Salaminy był wojownikiem z krwi i kości, który nietylko wsławił się na wojnie, lecz i pierwszorzędnym mężem stanu, nie mającym rywali w zręczności przy prowadzeniu układów. Dziś Temistokles jest bardziej znany młodzieży szkolnej od bohaterów wojny o niepodległość.

Potrzeba łączenia hellenizmu współczesnego ze starożytną Grecyą nie jest bynajmniej fantazyą archeologów i uczonych — to namiętność narodowa, którą odnajdujemy na wszystkich szczeblach społeczeństwa. Uniwersytet grecki zawdzięcza swe powstanie nie samej tylko hojności Greków milionerów, którzy dorobili się majątków za granicą. Składało się na niego mnóstwo ludzi biednych, którzy nie umieli czytać, ale chcieli ofiarować swój grosz na instytucyę, mającą podnieść urok sławy greckiej.

Karol Edward Lloyd pisze w *Cosmopolitan*, iż pewna służąca nazwiskiem Klara Gotou, przyniosła rektorowi uniwersytetu dwieście franków oszczędzonych z pensyi w czasach, kiedy służba ateńska nie zapoznała się ze zwyczajem cywilizowanego zachodu pobierania koszykowego. Pewien stary kreteńczyk opuścił na czas pewien swe góry rodzinne, by udać się do stolicy Grecyi i złożyć tam swą ofiarę na wyższy zakład naukowy, który pod ten czas zakładano.

Grecy współcześni uważają się za spadkobierców i potomków bohaterów z pod Maratonu. Czy ta pretensya jest usprawiedliwiona? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, należałoby we wszystkich prowincyach urządzić ankietę, jaką w każdej wiosce attyckiej zrobił redaktor *Deutsche Rundschau*. Na pierwszy rzut oka zdaje się, iż gdyby taką pracę przeprowadzić na całem terytoryum państwa, okazałoby się, że rasa grecka zachowała się we względnej czystości w prowincyach zachodnich, zaś we wschodnich zmieszana jest mocno z krwią albańską. Grecy współcześni uważają się mimo to za prawdziwych i jedynych reprezentantów starożytnych Greków.